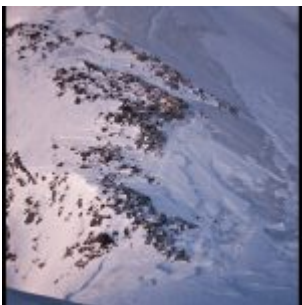


Allalinhorn

W styczniu 2017 roku podejmujemy się wyzwania zdobycia 4-tysięcznika. Nasz wybór padł na Allalinhorn. Za każdym razem, gdy jedziemy w Alpy zimą jesteśmy nastawieni, że będzie ciężko, po czym tak dostajemy wciśniętą, że decydujemy się więcej w Alpy zimą nie jeździć. Za jakiś czas zapominamy o postanowieniu i znów jedziemy i tak było i tym razem.

Galeria







Problem pojawił się już przed wyjazdem, ponieważ w dzikowej Zafirze już kolejną zimę nie działało ogrzewanie i odmrożenia mogły pojawić się jeszcze przed dotarciem na miejsce. W takim wypadku decydujemy się pojechać do Szwajcarii tomkowym Fordem Escortem. Rocznik nieznany. Takie to starutkie autko, które nie ma klimy, ale po co nam klima zimą. Ważne, że ogrzewanie jest i radiomagnetofon na kasety (edytowane 05.07.2017: sms od Tomka – „*RADIOODTWARZACZ NA KASETY? Jak mogłeś. Jakby Ford to przeczytał to by Ci nigdy nie odpalił. Nic mu nie powiem ale jutro rano i tak pewnie pozna po mojej minie że coś jest nie tak*”).

Dojeżdżamy do Saas Fee bez najmniejszych problemów. Tylko nie rozmawialiśmy i kaset nie słuchaliśmy bo auto przy większych prędkościach nieźle hałasuje. Od razu udajemy się na kolejkę od samego początku rezygnując z dobrego, czystego stylu. Ale spoko, potem będzie jeszcze gorzej. Wyjeżdżamy kolejką do górnej stacji jak zwykle budząc wątpliwości u pracowników. Pytają gdzie idziemy, gdzie chcemy spać, gdzie jest nasz przewodnik itp. Ogólnie odradzają, żeby się podejmować tego co zamierzamy. Podobnie było w lutym 2012-go roku, kiedy samotnie [wchodziliśmy na Mont Blanc](#). O co im chodzi? Przecież tym razem

wybraliśmy najłatwiejszy 4-tysięcznik w Alpach! Czuając na sobie wzrok obsługi kolejki i ostatnich przed zmrokiem narciarzy wychodzimy z tunelu i idziemy w kierunku Britannia Hutte na wysokości 3030 m. Dojście do niego nie stanowi dużego problemu mimo, że plecaki ciążą nam bardzo (jak zawsze ważą milion kg mimo odchudzonego bagażu). Przy schronisku czeka nas przemiła niespodzianka, bo otwarty jest schron zimowy z piecem i łózkami piętrowymi. Nie musimy spać w namiotach!

Allalinhorn – pierwsze starcie

Rano wychodzimy w kierunku szczytu. Traktujemy to jako rekonesans, choć ja i tak mam spinę. Jak tylko odwiążę się od liny to gnam jak opętany. Wiadomo, że i tak tego dnia na szczyt nie wejdziemy, ale mam ciśnienie by wejść jak najwyżej. Dawid też zasuwa ostro, za to w tyle zostają Tomek i Paweł. Czekam na nich i mówię coś w stylu, żeby „podkręcić tempo”. Tomek komentuje to pod nosem, nie słyszę dokładnie jego słów, ale przypuszczam, że i tak nie nadawały się do zacytowania. Docieramy do stromego stoku pokrytego szarym lodem. Znow zasuвам do przodu po śladach widzianych oczami wyobraźni. Dopiero Paweł mnie uświadamia wołając, że to co wziąłem za ścieżkę to szczelina jest. Tylko, że ja w tym momencie w dupie jestem.

Sam, bez asekuracji kleję się do lodowej, twardej skorupy. Uświadamiam sobie sytuację i przed oczami pojawia mi się twarz synka. Wyraźna, niezapomniana wizja i uczucie, które tylko parę razy w życiu miałem i nie bardzo za nim tęsknię. Mam pełną świadomość, że jeśli rak puści to spadnę setki metrów w dół. Patrzę na swoje tępe raki, których przednie zęby prawie spod buta nie wystają i próbuję wbić czekan ale nie udaje mi się to. Czekan ma z 10 lat i nigdy nie był ostrzony. Zastanawiam się, czy wkręcić śrubę i poczekać na chłopaków z liną? Tylko, że podczas wkręcania jest duża szansa, że się ześlizgnę. Decyduję się zatem wrócić do nich. Krocze po kroczku, centymetr po centymetrze posuwam się w ich kierunku.

Kiedy jesteśmy razem wiążemy się liną jak Bozia przykazała i co jakiś czas wkładamy śrubę – gówniane Petzle i Irbisy. Idąc jako ostatni wykręcam czekaniem to badziewie i spalę więcej kalorii niż podczas półmaratonu. Jedynie jedna śruba Black Diamond wchodzi jak w masło i to tylko za pomocą korbki, w jaką jest wyposażona.

Ścianka z szarego lodu się kończy, a my odpoczywamy na wypłaszczeniu. Przed nami jeszcze kawałek grani, potem skalny próg i podejście na przedwierzchołek. Ale to już nie dziś. Wracamy po szarym lodzie asekurując się śrubami. Potem podejmujemy fatalną decyzję szybszego zejścia na lodowiec i zamiast wrócić tak jak przyszliśmy to robimy kilka kilometrów więcej torując w śniegu przez poszczeliniony lodowiec. Tu Paweł zrobił heroiczną pracę przecierając świeży śnieg przez większość czasu.

Jesteśmy tak wypruci, że następnego dnia robimy dzień restu. Cały dzień spędzamy wokół schorniska, wchodzimy na Klein Allalin (3070) i robimy trening z liną. Dodatkowo prowadzimy dyskusję, czy ten odcinek, którego nie przeszliśmy to jest stromy czy nie, i czy bardziej stromy, czy bardziej nie, i jeśli bardziej to bardziej od czego. Wieczorem mam chwile wątplenia i nie chcę iść na Hohlaubgrat, ale chłopaki twierdzą, że damy radę.

Atak szczytowy

Rano ruszamy na atak szczytowy. Już na początku psuje mi się czołówka, więc do świtu radzę sobie z telefonem w ręce. Bardzo szybko dochodzimy do szarego lodu i całkiem sprawnie go pokonujemy. Podobnie jak pierwszego dnia, jesteśmy cały czas nagrywani przez kamerkę z położonej w okolicy stacji narciarskiej. Dopiero po powrocie okaże się, że możemy zlokalizować się jako małe czarne kropki praktycznie w dowolnej chwili pokonywania tej drogi.

Wchodzimy w dziewiczy dla nas teren. Grań jest przewiana,

również pokryta twardym lodem. Nasze śruby nie pozwalają na szybkie poruszanie się, ale kiedy Paweł dochodzi do skalnego progu wciąż mamy dobry czas. Gdy dotyka stałych zabezpieczeń wkućtych w skałę cieszymy się, jakbyśmy na szczycie byli. Dalsze posuwanie się po pokrytym śniegiem, 30-metrowym uskoku pożerało nam czas niemiłosiernie. Kiedy wychodziliśmy powyżej niego na ostatni lodowy odcinek mam już dosyć wszystkiego. Jestem już w tym momencie psychicznie przegrany a Tomek fizycznie zdaje się być w jeszcze gorszej kondycji niż ja w psychicznej. Dawid trzyma się dobrze, ale dostał mocno w kość znosząc sypiący się na niego odgarniany przez Pawła śnieg i długie czasy oczekiwania na stanowiskach. A Paweł... w tym momencie mówi do mnie „Kurde Dziku to naprawdę fajna górka, dzięki, że mnie zabrałeś”.

Droga powrotna

Gramolimy się przez ostatnie metry, szczyt zdobyty, teraz trzeba szybko zejść. Wybieramy drogę łatwiejszą, podobno przez cały rok przecieraną przez narciarzy. Niestety nie dziś, bo śladów nie widać. Już na początku się mylimy i znów trafiamy na oblodzoną ściankę. Poruszanie się na czubkach raków powoli mi wychodzi bokiem. W pewnym momencie wiem, że się już nie utrzymam i spadam parę metrów. Ląduję w śniegu przykrywającym szczelinę. Wygramoliłem się i patrzę, jak Tomek walczy. Jest już parę metrów poniżej śruby lodowej, tylko, że w tym momencie spada idący ostatni Dawid. Zjeżdża ze znacznie większej wysokości niż ja i trafia do tej samej szczeliny. Na szczęście i pod nim śnieg wytrzymuje, więc w trudnym położeniu został tylko Tomek. Bez asekuracji, na stromym oblodzonym stoku, walcząc resztką sił i na dodatek w tym momencie postanawia on wejść kawałek do góry, żeby pozostawioną śrubę wykręcić. Samo patrzenie na niego powodowało u mnie takie zmęczenie, że miałem ochotę szarpnąć łączącą mnie z nim linę i ściągnąć go na dół. Tomek z powodzeniem dociera do śruby, odkręca ją i schodzi do nas. Jestem pod wrażeniem, ileż on siły musiał z siebie tam wykrzesać.

Wezwanie pomocy

Stoimy we czwórce na Feejoch na wysokości 3826 m n.p.m. W dole widzimy wyratrakowane stoki i kolejkę narciarską. Słysząc i widząc też narciarzy i próbujemy kawałek zejść w ich kierunku. Gdyby był choć najmniejszy ślad narciarski, gdybyśmy mogli choć w przybliżeniu określić szlak między szczelinami zajęłoby nam to może z godzinę i byłibyśmy bezpieczni. Tymczasem fakt jest taki, że słońce zachodzi, przed nami stromy lodowiec z przykrytymi potężnym szczelinami a w domu czeka na nas czwórka małych dzieci i – o czym dowiem się po powrocie – żona w ciąży. Decyzja jest jednogłówna – wzywamy pomoc.

Moje odczucia są takie, że ja na tej górze przegrany byłem od samego początku. Kiedy wychodziliśmy ze schroniska to byłem już na lodowcu. Zanim dotarliśmy do grani to byłem już głową na szarym lodzie. Do skał dotarłem zanim z lodu zeszliśmy a gdy Paweł dotknął skały to byłem już na szczycie. Gdy stanęliśmy na wierzchołku to ja mentalnie już z powrotem w śpiworze byłem niezdolny do dalszego działania. To mój 30-ty wyjazd w Alpy i pierwsza akcja ratownicza. Oby również ostatnia.

Dziękuję Tomkowi za jego spokój, Dawidowi za rozsądek i Pawłowi za niesamowitą siłę.

Dziku

„Przygoda, z nieodzownym ryzykiem i dziką przestrzenią, stanowi tęsknotę głęboko wpisaną w duszę mężczyzny. Męskie serce potrzebuje miejsca, w którym nic nie jest prefabrykowane, wzorcowe, koncesjonowane, podgrzane w mikrofali. Gdzie nie ma terminów, telefonów ani spotkań zarządu. Gdzie jest miejsce dla duszy.”

John Eldredge – „Dziki serce”

Chłopczyk pod Wildspitze

– 23 VI –

Znów jedziemy z małym w Alpy. Michał ma teraz 14 miesięcy, czyli o 10 więcej niż ostatnio, gdy byliśmy w [Kals pod Grossglocknerem](#). Jest bardziej świadom otoczenia, a przede wszystkim już nie leży w gondoli, tylko siedzi przypięty pasami w spacerówce. To oznacza, że możemy wjeżdżać na wiszące mosty i biegać z wózkiem po szlakach i robić „brum brum” unosząc przednie koło i nie ma obaw, że młody wypadnie.

Oprócz możliwości powiększyła się też nasza załoga. Na tym wyjeździe są z nami dziadkowie Michałka oraz Dawid, Monika i Emilka. Ta ostatnia trójka odwiedziła nas również w zeszłym roku w Kals.

– 24 VI –

Po dotarciu do pensjonatu w Vent i rozpakowaniu się idziemy na spacer do Rofen. Asfaltem dochodzimy do celu na wys. 2014 m. Tam przechodzimy po wiszącym moście i wracamy do Vent szlakiem prowadzącym po drugiej stronie wypływającej z lodowca rzeki. Mamy piękną pogodę – bardzo ciepło i słonecznie. Korzystamy z niej i popołudniu idziemy na jeszcze jedną trasę. Tym razem dochodzimy do wysokości ok. 1900 m na drodze dojazdowej z Vent do Stablein.

Po przeciwnej stronie doliny widzimy ośnieżone szczyty. Próbujemy odgadnąć ich nazwy i wysokości ale nie zabraliśmy mapy. Wśród tych groźnych trzytysięczników są: Talleitspitze (3408), Schalfkogel (3540), Spiegelkogel (3426), Ramolkogel (3550) i kilka innych.



Dolina Rofental

– 25 VI –

Sprawdza się mało optymistyczna dla nas prognoza. Całą noc padało i rano też bezlitośnie leje. W pokoju jest ciemno, trzeba świecić światło. Czy tak będzie wyglądał cały dzień? Leżę koło spakowanego plecaka i czekam na cud, który następuje około godz. 10-tej. Nie słyszę szumu deszczu więc wyglądam za okno – faktycznie nie pada. Przystępujemy do akcji, której celem jest zdobycie wysokości 3 tysięcy metrów. Bez dzieci, za to z teściem, dla którego będzie to życiowy rekord wysokości. Decydujemy się skorzystać z wyciągu krzesełkowego aby zyskać na czasie, bo pogoda jest bardzo niepewna. O 10:40 zeskakujemy w Stablein na wysokości 2356 m. Zaledwie po 1h40' marszu i łatwej wspinaczki stoimy pod krzyżem na szczycie Wildes Mannle o wysokości 3020m. Czas z drogowskazu skróciliśmy o 50'! Widzę w teściu potencjał, myślę już o innych szczytach, które są w jego zasięgu. Przed 15-tą jesteśmy z powrotem w pensjonacie.



W drodze na Wildes Mannle

Pogoda się poprawia, wychodzi słońce, więc idziemy na kolejny spacer. Tym razem całą rodziną przechodzimy urokliwą trasę zwaną Rund um Vent. Zaczyna się ona w miasteczku przy początku szlaku na Ramoljoch i idzie wzdłuż orograficznie prawego brzegu rzeki. Poniżej Vent przechodzi się mostkiem na brzeg lewy i drogą asfaltową wraca się do punktu wyjścia.

Jaby tego było mało z Agnieszką wybieramy się na jeszcze jeden rekonensans. Tym razem obieramy wspomniany już, stromy szlak w kierunku Ramoljoch i Ramolhaus. Mijamy przepiękne łączki i punkty widokowe. Wzdłuż szlaku można napotkać ławki. Co jakiś czas podziwiamy pokrytą śniegiem, kształtną bryłę Similauna – górę, z którą wiąże się kilka istotnych dla mnie momentów. Górę, na którą wciąż nie wszedłem, choć opisywana jest jako oblegany przez tabuny turystów łatwy 3-tysięcznik.



Similaun

– 26 VI –

Pobudka o 3:20 i to nie z powodu dziecka, ale z powodu górującego nad doliną Oetztał szczytu – Wildspitze (3768). Punktualnie o godzinie 4-tej wychodzimy z Dawidem z pensjonatu w Vent na wysokości blisko 1900 m. Na okolicznych górach płoną jeszcze płomienie ułożone w wielkie krzyże. Od prawie stu lat raz do roku miejscowi rozpalają te symbole wierząc, że unikną dzięki temu wojen i nieszczęść. Może i nam wyjście w takim momencie przyniesie szczęście?



Wildspitze (3768 m)

W godzinę pokonujemy 550 m wysokości. Daliśmy sobie cel 12-tu godzin na całą akcję, ale już zaczyna nam kołatać w głowie, że można to zrobić szybciej. Po 2h od wyjścia jesteśmy już przy schronisku Breslauer Hutte (2844). Jest godzina 6-ta i jest to czas wyjścia na szczyt ekip, które spały w schronisku. W czasie, gdy my jemy i pijemy wszyscy już wyruszyli – w sumie ok. 25 osób. Mamy nadzieję, że jeśli zaraz wyjdziemy i utrzymamy tempo to uda nam się część ekip wyprzedzić. Nie tyle chodzi tu o wyścigi, co o uniknięcie korków w trudniejszych miejscach. Łykam jeszcze niemal symbolicznie ostatnią tabletkę antybiotyku i żegnam się z chorobą. Czuję się zdrowy i silny, czuję się jakbym miał już nigdy nie zachorować.

Powyżej schroniska mijamy tablicę upamiętniającą przewodnika a na niej napis: „Nie znasz dnia ani godziny, kiedy Bóg wezwie Cię do siebie”. Zgadza się, w górach ludzie giną, ale najczęściej ludzi umiera w biurach i przed telewizorami. Często jeszcze za życia.



W tle przełęcz Mitterkarjoch oraz szczyt Hinterer Brochkogel (3635 m)

Tymczasem my trzymamy się szlaku i po skalnych ścieżkach docieramy pod śnieżny żleb prowadzący na przełęcz Mitterkarjoch (3468). Już tu mamy za sobą te ekipy, które z niewiadomych względów opuściły ścieżkę i trawersowały zbocze powyżej nas. Wchodząc w żleb naliczyłem 10 osób pod ferratą, z czego 3 poszły dalej śniegiem a 2 wyprzedziliśmy gdy ci uzbrajali się w lonże. Przed nami wciąż było pięciu Czechów i szło im całkiem sprawnie. Dopiero na końcówce, gdzie odcinek stalowej liny schowany był pod śniegiem ekipa przed nami zablokowała nas na jakieś 10 minut. Po wejściu na przełęcz wiążemy się liną i wkraczamy na lodowiec. Od tego momentu jesteśmy już pierwszymi pretendentami do zdobycia szczytu. Omijając szczeliny docieramy do skał na grzbiecie prowadzącym na szczyt. Względnie łatwą wspinaczką (ostatnie 2 minuty nagrałem) zdobywamy drugi szczyt Austrii – Wildspitze.

Dokładnie o tej porze główna część ekipy wyrusza szlakiem do Martin Busch Hutte (2501). Jeśli ich zamierzenia by się powiodły padłoby kilka rekordów – nigdy wcześniej na takiej wysokości nie była ani 2-letnia Emilka, ani 14-miesięczny Michałek, ani babcia Michałka. Niestety ta karawana z wózkami zatrzymana została na wysokości ok. 2150 m. Jak się okazało, z powodu kamiennych lawin wytyczono „objazd” drogi normalnej. Niestety to obejście niebezpiecznego miejsca prowadziło stromą ścieżką w dół do nowego mostku a potem na drugą stronę rzeki. Szlak ten jest zupełnie nieprzystosowany dla dziecięcych wózków. Mimo to ekipa podejmuje się wyzwania – wózki lądują w krzakach a dzieci w nosidełkach. Wszyscy razem przekraczają rzekę i ruszają w górę skalną ścieżką. Ta prowadzi przez parę km do kolejnego mostu, którym można wrócić na właściwą drogę. Jest to jednak zbyt wymagający i niebezpieczny odcinek dla małych dzieci i kobiety w 6-tym miesiącu ciąży. Po pewnym czasie drużynka zatrzymuje się, Aga robi jeszcze rekonesans i gdy wraca zarządza odwrót. Całą eskapada zajęła im 5,5h w pełnym słońcu, więc gdy wychodzimy im naprzeciw widzimy zmęczone, ale jednocześnie zadowolone twarze.

A jak to się stało, że pomimo prowadzonej przez nas tego dnia akcji na Wildspitze byliśmy o tej porze na dole? Wróćmy na szczyt.



Dawid na ostatnich metrach

„GELOBT SEI GOTT SEIN SIND DIE GIPFEL DER BERGE” – Niech będzie błogosławiony Bóg, Jego są szczyty gór. Taki napis znajduje się na krzyżu i niech tak pozostanie jak jest tam napisane. Po kilku zdjęciach i chwili odpoczynku przechodzę granią na wierzchołek północny. Jest to śnieżna kopułka o wysokości 3765 m. Dawniej to ten szczyt był wyższy, ale obniżył się na skutek wytopienia pokrywy śnieżnej. Robię zdjęcie wierzchołka z krzyżem i wracam. Teraz dopiero spokojnie siadam, jem i piję. Dawid zastanawia się, jak mi powiedzieć, że i tak będziemy szli po grani na północ bo zejdziemy inną drogą. Około godziny 9:40 zaczynamy schodzić. Propozycja trawersowania grzbietu i zejścia na lodowiec stokiem z drugiej strony jest strzałem w dziesiątkę. Unikniemy dzięki temu mijanek z tymi wszystkimi, którzy wchodzi normalną drogą. Zatem podążamy śnieżną granią do najniższego punktu i stąd prosto na lodowiec w dół po stromym stoku – jednym z tych, co to się wydają być prawie pionowe, a gdyby zmierzyć to by się okazało, że nachylenie 45-ciu stopni nie przekracza.

Niemniej schodzimy twarzą do stoku, a na lodowcu wiążemy się liną i po rozmiękłym już od słońca śniegu wracamy na przełęcz Mitterkarjoch. Po drodze Dawid parokrotnie wpada nogą w ukrytą pod śniegiem szczelinę. W jednej z nich macha i wyczuwa pod spodem pustkę – oj, nieprzyjemnie byłoby wpaść i się zaklinować.



Wierzchołek południowy widoczny z wierzchołka północnego

Na przełęczy rozwiązujemy się, ściągamy raki a poniżej ferraty zdejmujemy z siebie uprząże, stuptuty, kaski i uzbrojeni w kijki pędzimy bez przystanku na dół. Punktualnie o 13-tej jesteśmy w miasteczku. 1960 mH w zejściu zajęło nam 3h20'. Tę samą wysokość do góry pokonaliśmy w 5h15'. Doliczając czas spędzony na szczycie w sumie akcja trwała 9h. To znacznie szybciej, niż planowaliśmy i dlatego pomimo, że brakowało dreszczyku z powodu samego zdobycia wierzchołka to czuję tego dnia dużą satysfakcję.



Na szczycie

– 27 VI –

Z rana udajemy się w dolinę Rofental, jednak gdy po mniej jak pół godziny doszliśmy do Rofen (2014) zaczyna padać. Podobnie jak pierwszego dnia przechodzimy przez wiszący most i wracamy do domu. Tego dnia podejmujemy jeszcze jedną próbę aktywności.

Podjeżdżamy do miasteczka Obergurgl i chcemy przejść się doliną Gurglertal. Niestety i tym razem deszcz krzyżuje nam plany. Jednak dzięki temu krótkiemu wypadowi poznałem kolejne miejsce otoczone trzytysięcznikami.



Most w Rofen

– 28 VI –

Prognozy są nieubłagane – cały dzień możliwe opady. W takim wypadku odpadają długie trasy z dziećmi. Podejmiemy się z Dawidem mimo to próby zdobycia okolicznych szczytów. Wychodzimy o 6:30 w lekkim deszczu i kierujemy się na Ramoljoch (3186). Szlak najpierw prowadzi lasem stromo do góry a potem wychodzi na Ramolalm (2218) już ponad linią drzew. Dotąd jest to niezwykle malownicza trasa. Drzewa są pokryte porostami a wzdłuż szlaku rosną kwiaty – wygląda to jak obraz malowany. A powyżej... wychodzi się na morenę lodowca. Póki jest w miarę obrosnięta trawą to jeszcze to jakoś wygląda, ale potem gruzowiska skalne robią ponure wrażenie, szczególnie w

taką pogodę.



Tęcza i gruzowisko

Warte odnotowania jest to, że jakieś 2h drogi od Vent (zdrowym tempem) na lewo od szlaku jest przygotowana platforma pod namiot z dostępem do wody [EDIT 2022: W lipcu 2022 roku ani śladu po ciekach wodnych, jedyna woda to ta ze strumienia wypływającego bezpośrednio z oczka wodnego utworzonego przy cofającym się jezorze lodowca, wysokość w lipcu 2022 to około 3000 m n.p.m.]. Natomiast około 10 minut później jest większy placzyk na co najmniej dwa namioty, jednak tam już nie widziałem cieków wodnych. Przy wspomnianym placyku znajduje się drogowskaz i odbicie szlaku 3h na Martin Busch Hutte (2501). Na przełęcz Ramoljoch wchodzimy po 3,5h z Vent. Przez ostatnie 50 m przewyższenia za plecami słyszymy grzmoty więc cel jest jeden – schować się w schronisku po drugiej stronie przełęczy. Do Ramolhaus (3006) wchodzimy nieco przemoczeni po 25' od przełęczy. Okazuje się, że schronisko otwierają dopiero za parę dni (od 1-go lipca), ale młoda, miła dziewczyna

zaprasza nas do środka. Pyta czy chcemy herbaty (nie), kawy (nie), coś do zjedzenia? Nie! My z Polski jesteśmy – my wszystko ze sobą nosimy! – tłumaczy Dawid.



Ramolhaus

Po godzinie przejaśnia się nieco, więc idziemy z powrotem na przełęcz. Do szczytu Hinter Spiegelkogel (3426) mamy z godzinę drogi, do Ramolkogel (3550) może ze dwie. Jednak dziś na żaden szczyt nie wejdziemy. Znowu pada, dookoła kłębią się chmury, a my nie mamy ochoty w takich warunkach biegać po tym gruzowisku. Ruszamy z powrotem do Vent, gdzie docieramy już o 14-tej. Ze schroniska do miasta wróciliśmy w 2,5h (wg tabliczki 4h). Mnie po głowie obija się słowo, jakim Dawid opisał kamienistą część trasy – ohydna. Rzeczywiście ten rejon należy do tych, które się „sypią”, a miejscowi dla zachowania względnego bezpieczeństwa co jakiś czas muszą wytyczać nowy szlak. Niemniej jestem przekonany, że przy ładnej pogodzie można by urządzić sobie tu świetne pole do zdobywania wysokogórskiego doświadczenia.



Hinter Spiegelkogel (3426)

– 29 VI –

Dziś wychodzimy na spacer wokół Vent. Między innymi zwiedzamy z małym na plecach miejsce zwane Hohler Stein (2050). Jest ono oddalone zaledwie 20 minut od granicy miasteczka i wiedzie zboczem góry Talleitspitze (3408). Góry, która króluje ponad Vent. Na jej szczycie znajduje się krzyż, a w nim czerwony kamień, przez który zimą, jedynie raz do roku słońce pada w taki sposób, że choć w dole jest cień to z miasteczka widać czerwone światło ze szczytu. Zaś Hohler Stein to wielki głaz, który uznawany jest za schronienie dla myśliwych sprzed tysięcy lat. Jest ono oddalone w linii prostej zaledwie 10 km od miejsca, gdzie odnaleziono zwłoki Oetziego. O pomniku ustawionym niedaleko miejsca odnalezienia zwłok wspomniałem w relacji „[Dziku – człowiek z Similaun](#)„. Wspomniany Oetzi żył ponad 3000 lat przed naszą erą a jego doskonale zachowane zwłoki odnalazła para turystów z Niemiec w roku 1991. Przyczyniło się to do wielu kontrowersji, m. in. do sporu

między Austrią i Włochami, gdyż zwłoki znaleziono w pasie granicznym. Również Helmut Simon, który to właśnie wraz z żoną natrafił na znalezisko, sądził się przez wiele lat by uzyskać z tego powodu jakąś gratyfikację. Paradoksalnie nawet od niego zażądano zapłaty za wstęp do muzeum w Bolzano, gdzie można obejrzeć zwłoki Oetziego. W 2004 roku, wkrótce po tym, jak Simon wygrał proces o sumę 150 tys. € nagrody za znalezisko, on sam zginął podczas samotnej górskiej wspinaczki.

Wieczorem ruszamy w drogę powrotną do domu. O charakterze tego wyjazdu zdecydowała głównie pogoda, tak jak to zwykle bywa. Pod nią dopasowaliśmy plany i pomimo, że po raz czwarty będąc w Vent znów nie wszedłem na Similaun to i tak uważam, że te spędzone tam parę dni dobrze wykorzystaliśmy.

Dziku



Der kleiner Bergsteiger



Młody w bolidzie



Relacja, której nie ma

Ilekroć zabieram się za napisanie relacji z Allalinhorna (wchodziliśmy na niego w styczniu 2017), to mój syn wpada w histeryczny płacz. Rozstraja mnie to nieco, ale też widzę w tym jakiś znak i pisanie odkładam. Ogólnie zastanawiałem się ostatnio, dlaczego z niektórych wyjazdów relacje nie powstały. Nie ma w tym żadnej logiki, tzn. nie widzę wpływu, czy wyjazd był udany (zresztą nie ma w mojej opinii czegoś takiego jak wyjazd „nieudany”), czy był długi, czy krótki, czy góra była zdobyta, czy nie. No może poza jednym czynnikiem, bo nie napisałem nic o tych akcjach, podczas których zdarzały się epizody, których nie umiałem do tej pory wytłumaczyć. Klasyczny przykład, to ten, kiedy w 2010 roku na Gerlachu poszedłem jak ćma w ogień i samotnie zacząłem się wspinać lodospadem. Innym razem, kiedy w 2011 roku w trudnych warunkach śniegowych szukałem góry Zawrat, nie wiedząc, że to jest przełęcz. Po raz trzeci, po latach, zdarzyło się to właśnie na Allalinhornie w 2017, kiedy znów byłem bliski wpakowania się w sytuację skrajnie niebezpieczną. Zdecydowanie do tych trzech dorzuciłbym jeszcze zadanie z gwiazdką, czyli rosyjska ruletka w Alpach Oetztałskich w 2012 i zapraszanie lawin do tańca. Myślę, że we wszystkich tych przypadkach byłem o krok od nieszczęścia i niewytłumaczalna siła zadbała, bym wrócił na dół. Tłumaczenie wszystkiego „szczęściem” byłoby szczytem arogancji.

Czemu teraz o tym piszę? Nie dlatego, że teraz rozumiem, co tam się stało, ale dlatego, że już wiem, że nie muszę tego rozumieć. I w odpowiednim momencie wrzucę krótki tekst o drugim wejściu na Gerlach, który się skończył, zanim się

zaczął i o wejściu na niemal sam szczyt Zawratu, który był przełęczą. A już na pewno, jak tylko Michaś pozwoli, to napiszę o szarym lodzie i skalnym stopniu podczas zimowego wejścia na „najłatwiejszy” czterotysięcznik, z którym mentalnie przegrałem, zanim jeszcze ze śpiwora wyszedłem.

Na dziś załączam jedynie 1-minutową migawkę:

Allalinhorn – 4027 m – droga przez Hohlaubgrat – zimą

Jak żyć?

Jak żyć mając do dyspozycji metr kwadratowy w namiocie? Pół biedy jeśli chodzi tylko o przenocowanie, o przetrwanie do świtu po całodniowej wyrypie. Czasem jednak czekamy w trwającej parę dni zadymce we trójkę na 3 metrach kwadratowych i musimy urządzić sobie salon, kuchnię i sypialnię. Z reguły obiera się jedno ustawienie na początku i tak się już do końca uciera, że ten kawałek karimaty to kuchnia, a ten to magazyn sprzętu, że ja mam lewą nogę podkurczoną, a prawą za palnikiem, a kto inny ma głowę opartą na plecach kogoś innego, który to trzyma obie nogi na stopie tego pierwszego. I ten pierwszy topi śnieg, a ten drugi miesza, ten trzeci nalewa a drugi w tym czasie wyciera rozlane.

Ostatnia wędrowka w Szwecji sprowokowała kilka przemyśleń. Jak to się stało, że choć był to całkowicie nowy skład, tak doskonale wszystko funkcjonowało? Wymienię kilka punktów, które się na to złożyły i które warte są zastosowania na przyszłość.

1. Patent Asi z matą aluminiową o wymiarach 150x200cm pod karimaty: likwiduje „mostki termiczne” pomiędzy

rozjeżdżającymi się karimatami. Choć jest to jedynie nasze subiektywne odczucie niepoparte badaniami amerykańskich naukowców, to i tak poprawiało to komfort noclegu w namiocie na śniegu.

2. Porządek ogólny – wszystko w namiocie powinno mieć swoje miejsce. Szukanie łyżki, czołówki, rękawiczki, cukru, stuptuta i mnóstwa innych rzeczy jest stratą czasu i niepotrzebnym zamieszaniem. Od początku każda rzecz powinna mieć swoje miejsce.

3. Plecak z rzeczami niepotrzebnymi na zewnątrz. Część sprzętu można zostawić luzem, jak kaski, raki i kijki. Jednak nawet zapasowa koszulka, bielizna, łapawice, jedzenie na późniejsze dni mogą powędrować do jednego plecaka i zostać na zewnątrz. Z 3 osób może zgromadzić się całkiem pokaźny pakunek. W środku uzyskujemy nieco miejsca. A na zewnątrz nawet opad śniegu im nie zaszkodzi.

4. W przypadku dużych mrozów warto część dobytku schować do śpiwora. Termos z herbatą – niech oddaje ciepło w śpiworze. Buty – jeśli rano nie chcemy mieć zamrożniętych na kość, sztywnych skorup, do których nie mieści się stopa – schowajmy do śpiwora. Rękawiczki – do śpiwora (rano założymy ciepłe). Czołówka, telefon i baterie z aparatu – do śpiwora, a wtedy dłużej podziałają. Polar i puchówka może pójść pod plecy albo pod głowę, jednak należy być czujnym, żeby nie zamokły (i tu znów pomaga mata z punktu pierwszego).

5. Śnieg do topienia, najlepiej w worku lub reklamówce należy trzymać w przedsionku w zasięgu ręki.

6. Śmieci i opakowania albo od razu do przeznaczonego na to woreczka, albo można ewentualnie gromadzić podczas przygotowania posiłku w jednym opakowaniu (np. po liofie), a na koniec do kosza głównego.

7. Przydają się pomysły na gry towarzyskie, ewentualnie akcesoria w postaci kawałka ołówka i kartki. Grając w

szubienicę, statki lub kółko i krzyżyk można „zabić” kilka godzin. Podczas zignorowania prognoz i wiosennej wtopy w Alpach Berneńskich w cenie był słonecznik. Dłubaliśmy całymi godzinami, aż palce bolały.

8. Ostrzeżenie – podczas „kiblowania” schodzi znacznie więcej gazu i jedzenia niż podczas normalnej, przebiegającej zgodnie z planem wędrówki.



Paweł i noga Agi na [Monte Rosie w 2011 roku](#)



Łupki i dłubanie podczas wizyty w [Fiesch](#)

Dziku

Kebnekaise zimą, czyli Szwecja na zielono

Prolog

Sobota rano, lotnisko we Wrocławiu. Na nim Dzicza rodzinka w komplecie: Aga, Dziku i „Młody obywatel świata”. Po chwili przyjeżdża też Asia, którą Wizzair na tym wyjeździe uczyni przyrodnią matką Michałka. Dziku i Asia targają po pełnym worze mieszczącym się w przepisowych 23 kg. W worach znajdują

się rakiety śnieżne i inne sprzęty potrzebne za kołem polarnym. Do tego wszyscy mają po bagażu podręcznym. Łącznie z Michałkiem, którego możnaby do tego jego bagażu całego zmieścić. Na odprawie ochrona pyta Agi, czy w bagażu dziecka jest scyzoryk. Aga zaprzecza, a Pan celnik odgarnie pieluchy i wyciąga Victorinox. Michałek nic nie mówi, patrzy w dal udając, że nic o nożu nie wie.

Misja Kebnekaise

W Szwecji witają nas Rafał i Iwonka – współwinowajcy całego zamieszania, bo choć Dzik o wyjeździe do Kiruny i wejściu zimą na Kebnekaise od wielu lat myślał, to jednak nic w tym kierunku nie robił – jeno pogodę sprawdzał. Jak już Asia o to samo zagadała to było prawie pewne, że coś z tego pomysłu wypali. Asia to taka osoba, przy której realizacja pomysłów jakoś łatwiej przychodzi (i umie dobrze wyszukiwać tanie loty). Trzeci członek misji „Kebnekaise” to wspomniany Rafał, którego chwilowa emigracja to znak, że jest to odpowiedni moment na takie przedsięwzięcie.

Na najbliższy tydzień Aga i Michałek zostają u Iwonki, gdzie rozwinie się jednostronna przyjaźń między małym człowieczkiem i dużym psem – bokserem.



Nasza trójka już następnego dnia leci za Koło Polarne – do Kiruny. Przed odlotem samolot jest pokrywany jakimś środkiem, prawdopodobnie coś na niskie temperatury panujące na północy. Z samolotu podziwiamy zimowy krajobraz: wielkie pływające kry, zamrożone jeziora z torami do testowania samochodów, ośnieżone góry. Po ok. 1,5 h lądujemy na ośnieżonym lotnisku w Kirunie. Zupełnie biała płyta i stojący na niej samolot zasługuje na selfie. Następny etap to autobus z lotniska do miasta. Płacimy za niego milion szwedzkich pesos, po czym po 10 minutach jazdy wysiadamy, bo zobaczyliśmy centrum handlowe. Jeszcze wszystkich sklepów nie zdążyli otworzyć a już im się łądują galerianki z Polski. Co nas tak na te zakupy pognało?

Otóż gaz do palników trzeba kupić. Tak, żeby potem śniegu natopić i mieć co jeść i pić.



Ogrzać się na zapas

Kupujemy 5 kartuszy (zużyjemy niecałe 2) i na nogach przechodzimy resztę trasy do miasta. Dokładnie tą samą trasą, którą przejechał wcześniej autobus, który na własne żądanie opuściliśmy. Wszędzie dookoła leżą góry śniegu a mi przychodzi do głowy obraz widziany we Wrocławiu – dwójka dzieci z sankami na brudnym trawniku pokrytym grudami błota pośniegowego, w dodatku tuż przy 3-pasmowej ulicy.

Do odjazdu autobusu do Nikkaluokty mamy kilka godzin. Rozkładamy się w Centrum Kultury w rynku. Jest ciepło, jest toaleta, jest WIFI. Trzeba się nakorzystać bo wieczorem będziemy już w namiocie topić lód na herbatę. Więc Rafał korzysta z grzejników, żeby wysuszyć plecak (podczas lotu wylała się w worze woda z przebitej butelki). Ja korzystam z toalety – na zapas. Asia standardowo korzysta z WIFI. Ona

kiedyś napisze przewodnik – „Szlakiem darmowych WIFI na dalekiej północy”.



Kiruna

Wykorzystujemy ten czas również do poznania historii miasta i zwiedzenia drewnianego kościoła. W środku jakoś inaczej – rzeźby i ołtarz w drewnie, brak zdobień, złocień. Na ołtarzu wielki obraz przedstawiający łąki i las oświetlone przez słońce. Siły natury budzą tu na północy respekt. Trzeba się w ten trudny klimat wpasować, nie ma sensu z tym walczyć. Dlatego tutejsze dzieci od urodzenia spędzają czas na powietrzu, jeżdżą z rodzicami na nartach lub skuterami śnieżnymi w doczepionych przyczepkach. Dziś w Polsce w święta dzieci najpierw obrzucają się co najwyżej starymi liśćmi, a potem dopiero obejrzą prawdziwy śnieg w tv – w filmie „Kevin sam w domu”.

Na koniec wizyty w kościele mamy okazję zobaczyć, jak wygląda

tutaj obrzęd chrztu takiego kiruńskiego bobasa. Potem wracamy do centrum. Nasze plecaki stoją nietknięte. Wszystkie bagaże zostawiliśmy podsunięte pod ścianę w miejscu publicznym. Kto miałby nam je ruszyć i po co? Kradzież? Obok stoi komputer i drukarka. Na stoliku naklejona kartka: „Używaj tego komputera swobodnie, w budynku jest też darmowe WIFI. Jeśli potrzebujesz wydrukować bilet lub kartę pokładową, wyślij plik na podany adres email i wydrukujemy go dla Ciebie za darmo”.



Zorza polarna

Popołudniu mkniemy oblodzoną szosą w kierunku Nikkaluokty. W autokarze tylko nasza trójka. Kierowca nie przejmuje się warunkami na jezdni i pędzi jak szalony. Przyjeżdżamy o czasie i po przepakowaniu i założeniu rakiet – o 16:30 wyruszamy w długi marsz pod Kebnekaise. Już po 1,5h jesteśmy przy domkach nad jeziorem. Po ciemku rozkładamy namiot i chowamy się do śpiworów. Topimy śnieg, jemy obiad, pijemy herbatę. Robi się bardzo zimno. Do wyjścia z namiotu nie zachęca nas nawet zorza

polarna. Robię niewyraźne zdjęcia wychylając jedynie głowę i stawiając aparat na plecaku.

Wydechana para gromadzi się nad naszymi głowami w postaci lodowych, zbitych w kupki igiełek, które opanowują strefy wokół głów oraz oklejają wiszące pod sufitem 3 pary okularów. Nie wiem jak te śnieżne twory fachowo nazwać więc będę na nie mówił białe kurzyki. Przypominają mi osady z sadzy na piecu, czyli w tym przypadku czarne kurzyki.



Zimny start

Temperaturę mierzymy dopiero koło 8-mej rano, już po wschodzie słońca. Wynosi ona -24 stopnie. Ostro na początek.

Po spakowaniu biwaku wchodzimy na jezioro. Mimo słońca nie mogę rozgrzać stóp. W górach często kopię rakami o stok, żeby pobudzić krążenie, więc tu wpadam na podobny pomysł i kopię rakietami o podłoże. Szybko dokopuję się do twardego lodu. Kiedy parę godzin później wróci krążenie okaże się, że potłukłem sobie palce w jednej ze stóp. Uciążliwe, ale nie

bardzo, więc dla pewności przy pakowaniu parę dni później sobie poprawiam: upuszczam rakiety na gołą stopę i w ten sposób osiągam cel i do dziś mam całkiem fioletowego paznokcia. Ta-dam!



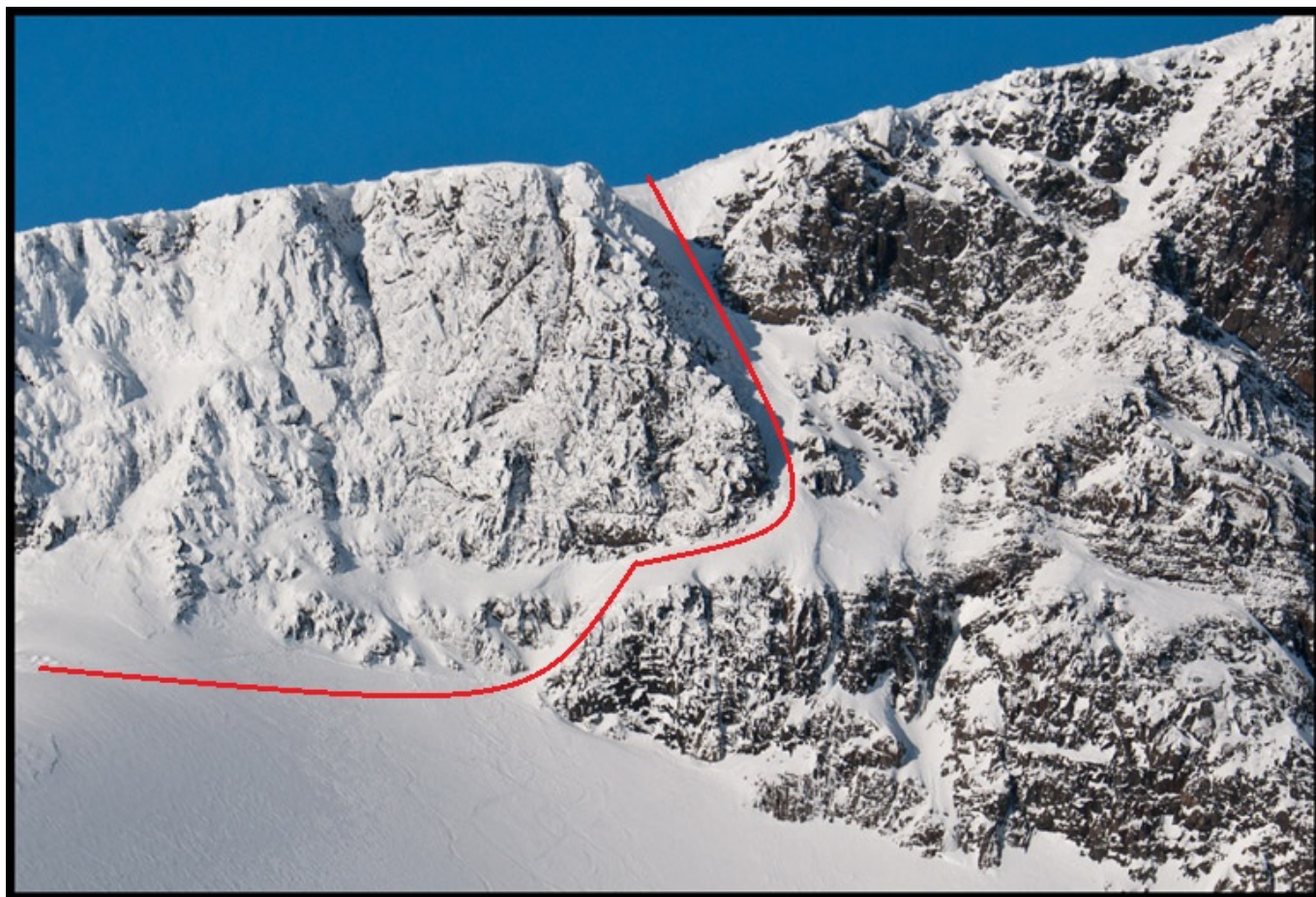
Przy pięknej, bezwietrznej pogodzie już po paru godzinach szybkiego marszu wchodzimy do schroniska Kebnekaise Fjallstation. Tam napełniamy termosy wrzątkiem, jemy liofy i ruszamy w dalszą drogę. Biwak rozkładamy dopiero przy wylocie żlebu prowadzącego na lodowiec pod Kebenkaise. Noc już zdecydowanie cieplejsza, ale nie na tyle, żeby ustawiać na kamieniach aparat i robić zdjęcia. Tzn. nie dla mnie, ale jest na to sposób – zmieniam ustawienia na aparacie i daję go Asi, która odważnie wychodzi ze śpiwora i robi piękne ujęcia namiotu na tle gór i rozgwieżdżonego nieba.

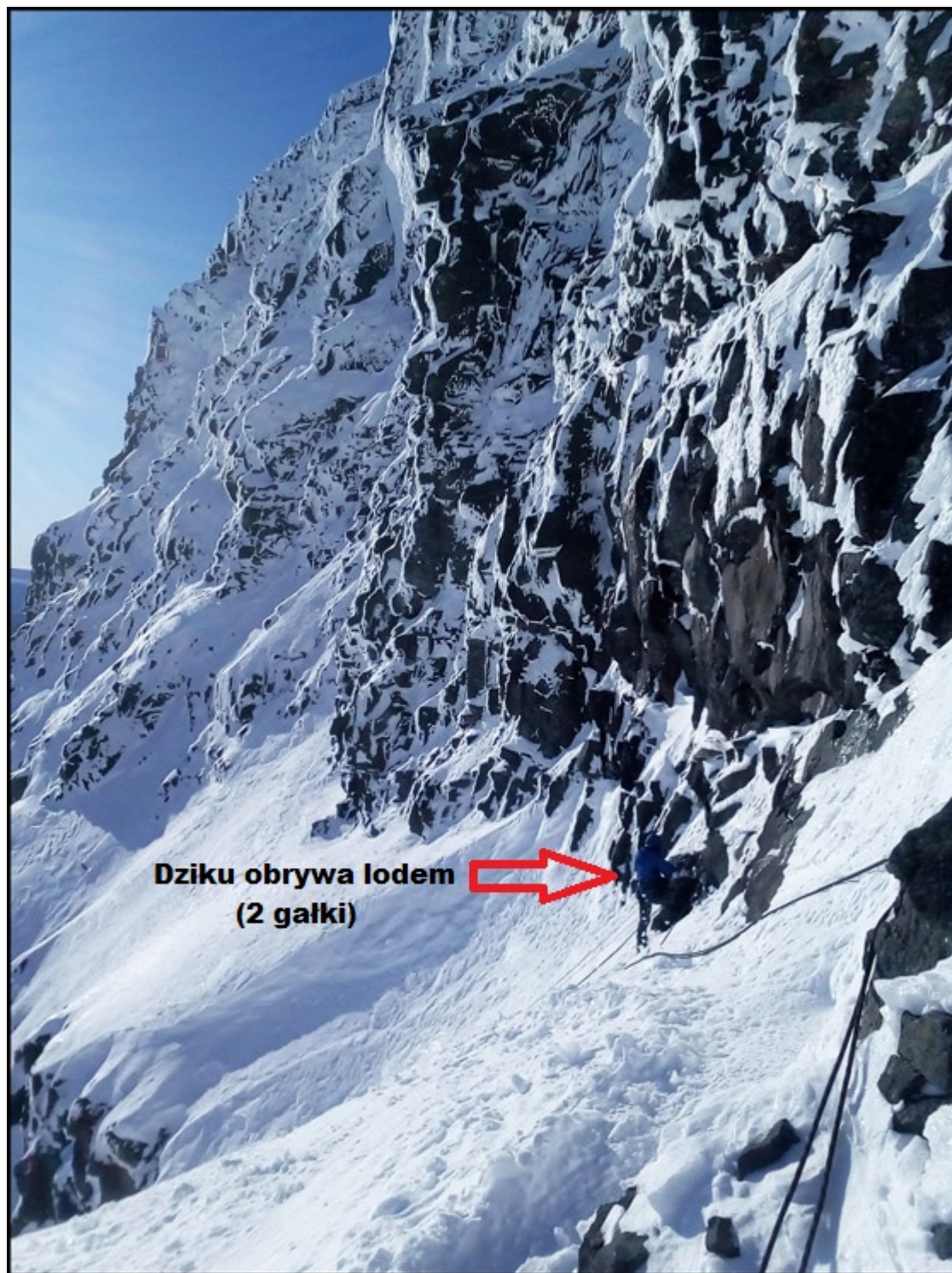


Atak szczytowy

Rano koło 7-mej ruszamy żlebem w górę. Następnie przecinamy lodowiec i grzbietem podchodzimy pod znacznie krótszy, ale bardzo stromy żleb prowadzący na plateau pod szczytem. Tu robi się niebezpiecznie. Pewności siebie dodaje poręczówka założona w ostatnich dniach przez przewodników. Na prowizorycznych lonżach podchodzimy do góry. Pokonując najbardziej stromy

stopień spadają na nas kawałki zamrożonego śniegu. Dostaję jednym w głowę i żałuję, że nie mam kasku. Dochodzę do punktu i przymocowuję linę. W tym czasie Rafał już mnie bezpiecznie minął i prze do góry. Kiedy asekuruję liną Asię spada mi prosto na ręce zamrożona bryła wielkości głowy. Adrenalina skacze. Asia przechodzi trudność i szybko opuszczamy to miejsce. Dalej po stopniach wybitych w stromym śniegu wgramolimy się do wylotu żlebu.





Kebnekaise

Wędrując po plateu dochodzimy do jednej, a potem drugiej chatki. Nie czas teraz na odpoczynek. Rafał już zmierza w kierunku śnieżnej, niepozornej kopułki i pierwszy staje na szczycie. Zaraz potem dołączam ja z Asią. W oddali jeszcze efektowniej prezentuje się północny wierzchołek. Asia wraca do chatki a my idziemy granią dalej. Ja już tu raz 8 lat temu pod

szczytem byłem i zawróciłem może 300 metrów od południowego wierzchołka, więc teraz żadnemu z nich nie odpuszczę. Grzech by to był – przy takiej pogodzie.



Bez problemu pokonujemy eksponowaną z jednej strony grań i po 20 minutach robimy sobie zdjęcia na tylko odrobinę niższym wierzchołku północnym. Wracając mądrzę się przed Rafałem i tłumaczę jak się po grani chodzi. Jak się tak rozwodzę to schodzę z wydeptanej ścieżki i widzę nagle przed sobą wcięcie w grani. Jeśli zrobiłbym jeszcze parę kroków spadłbym w parusetmetrowe urwisko. Pokora, pokora i jeszcze raz pokora. W chatce Asia już gotuje śnieg na liofa. Najpierw się posilimy, a dopiero potem zaczniemy schodzić do wylotu żlebu. Nie śpieszymy się, tym bardziej, że wymagana jest koncentracja. Ubezpieczając się lonżykami i dodatkowo związani liną schodzimy bezpiecznie na dół. Teraz to już tylko długi spacer do namiotu. Próbuję zjechać na tyłku, ale jest za małe nachylenie... ach! Gdybym miał jabłuszko!



Zwiady

Na drugi dzień podchodzimy z Asią pod Tuolpagorni. Dochodzimy do skalnego stopnia i zaglądamy na lewo wychylając się zza skał. Przechodzą mnie dreszcze, bo właśnie patrzę w najbardziej stromą i wysoką ścianę w jaką miałem okazję dotychczas spojrzeć. Czuję, że jest to limit, że nie warto więcej ryzykować. Dane nam było otrzymać od natury piękny dar w postaci doskonałych warunków podczas wejścia na Kebnekaise. To nie jest tu takie oczywiste, bo przez większość dni panuje tu zachmurzenie. Zimą do tego dochodzą niskie temperatury, duże opady śniegu, brak widoczności i silny wiatr. My trafiliśmy w ciemno mając jedynie 4 dni na całość przedsięwzięcia. Stan szlaku przed naszym przyjazdem i prognozy po naszym wyjeździe mówiły jedno – trafiliśmy tak idealnie jak to tylko było możliwe. Zważywszy, że Szwecja była ostatnią luką i „żółtą plamą” na mojej liście wysokiej Korony Europy było to piękne ukoronowanie kontynuowanej bez wytchnienia pasji.



Wracając do ramienia Toulpagorni, na którym się znajdujemy – w dole widzimy kropkę. To Rafał, który pożyczył ze schroniska narty. Czekając aż do nas podejdzie wydeptujemy na zboczu wielkiego, uśmiechniętego ludzika. Rafał zjeżdża a my schodzimy do namiotu. Zwijamy biwak i odwiedzając na krótko schronisko maszerujemy w padającym śniegu dalej. Jeszcze tego samego dnia, o zmroku, stajemy przy promach. Namiot rozkładamy dokładnie w tym samym miejscu co pierwszej nocy. Jest jednak cieplej, myślę, że z paręnaście stopni poniżej zera. Rano ustawiam aparat i... Asia wychodzi z nim na zewnątrz porobić zdjęcia biwaku ze wschodzącym słońcem w tle.



Powrót

Po półtorej godzinie marszu jesteśmy w Nikkaluokta. Żegnamy się ze szlakiem na Kebnekaise, oglądając go ze wzgórza z kaplicą. Potem autobusem jedziemy do Kiruny. Jeszcze szybki, spontaniczny wypad do hotelu lodowego, do którego jednak nie wchodzimy ze względu na pośpiech i ceny biletów. Popołudniu wracamy do Kiruny i idziemy na pociąg. Przed nami 18h podróży, z której zdecydowaną większość prześpiemy. Na stacji w Kopping witają nas Aga, Iwonka i mały Michałek. Na drugi dzień powrót samolotem do Polski. Koniec przygody. Pozostają zdjęcia i wspomnienia jak ze snu.

Dziku









Mądry Polak, czyli coś o hipotermii

Kategoria „Mądry Polak” zawierać będzie artykuły głównie z dziedziny pomysłów usprawnień, ale również nauczek. Bo chociaż nie ma efektywniejszego sposobu nauki niż na własnych błędach, to pozwolenie sobie na pewne pomyłki może skończyć się dla nas tragicznie. Nic nam wtedy nie przyjdzie z nabytej w praktyce wiedzy. Dlatego podzielę się jednym z przykładów, gdzie lekceważące podejście bądź też niewiedza doprowadziły do niebezpiecznej sytuacji.

W [artykule](#) o naszej próbie wejścia na Mulhacen w górach Sierra Nevada wspomniałem o przykrym doświadczeniu przypominającym hipotermię. Dobrze pamiętając tamte wydarzenia wciąż uznaję, że nigdy wcześniej ani później nie byłem wyziębiony tak, jak wówczas. A przecież był to wrzesień na południu Hiszpanii, gdzie masyw górski bezpośrednio styka się z plażami mórza śródziemnego. Zresztą zaledwie dzień wcześniej w Granadzie mieliśmy niemal 30 stopni ciepła. Dla uświadomienia kontrastu – zarówno podczas zimowej wędrówki na [Uralu Subpolarnym](#), jak i w lutym w [Alpach](#) temperatura nocą spadała poniżej -30°. Dodatkowo w tych przypadkach nocowaliśmy w namiocie.

A zatem z gorącej Granady pojechaliśmy autokarem do nieczynnego ośrodka narciarskiego. Stamtąd pieszo ruszyliśmy w góry. W miarę zdobywania wysokości wzrastał wiatr i zachmurzenie, ale kontynuowaliśmy wędrówkę, gdyż prognozy na dzień następny były znacznie lepsze. Plan był taki, by spędzić noc w jednym z kamiennych schronów na grzbiecie prowadzącym z Pico Veleta na Mulhacen. Oboje mieliśmy kurtki przeciwdeszczowe, ale niestety spodnie bez membrany, typu bojówki. Zacinający deszcz dokumentnie zmoczył mnie od połowy pośladków w dół. Do tego porywisty wiatr zrobił swoje i na szczycie Pico Veleta (3396 m) byłem już bardzo mocno wyziębiony. Brak widoczności dawał znikome szanse na

znalezienie schronienia, dlatego postanowiliśmy wracać. Już wtedy z powodu drgawek nie byłem pewien, czy uda mi się zejść na dół o własnych siłach. Stres i słabnąca psychika na pewno nie pomagały. Wkrótce telepało mną tak, że nie byłem w stanie wypowiedzieć słowa. Trzęsące się z początku nogi stawały się coraz bardziej sztywne, a ja przestawałem mieć nad nimi kontrolę. Coraz trudniej było mi postawić kolejny krok. Całkiem dobrze za to trzymała się Aneta, która nie czuła aż takiego wychłodzenia, a to na pewno dodawało otuchy i kto wie – może by nas nawet uratowało (ostatecznie skorzystaliśmy z pomocy z zewnątrz). Niemniej była to jedna z niewielu sytuacji, kiedy naprawdę zaczynałem odczuwać, że zagrożone jest moje życie a ja sam już nie potrafię opanować sytuacji.

Przez lata, gdy tylko temat powracał zastanawiałem się, czy to możliwe, żebym wtedy w Hiszpanii pomimo dodatniej temperatury wpadł w pierwsze stadium hipotermii. Odpowiedź znalazłem w książce [Góry Medycyna Antropologia](#), której autorem jest Zdzisław Jan Ryn.

„Nie bez znaczenia jest wilgotność odzieży, zarówno pochodzenia zewnętrznego, jaki i wewnętrznego (pocenie się). Ward uważa, że hipotermia może się rozwinąć przy temperaturze otoczenia 10°, jeśli są obecne dodatkowe czynniki, takie jak wiatr, wilgotność oraz nieodpowiednie ubranie.

(...)

Przy ciepłocie poniżej 36° uczuciu zimna towarzyszą dreszcze i drgawki ciała. Przyspiesza się tętno, oddech i wzrasta ciśnienie krwi. Przy ciepłocie poniżej 35° obok głębokiej apatii pojawiają się zaburzenia świadomości i osłabienie czynności psychomotorycznych, wraz z ograniczeniem orientacji. Kończyny stają się sztywne, co utrudnia poruszanie się.”

Wnioski:

1) Bierz pod uwagę wysokość i to, jaki może mieć to wpływ na temperaturę. Przyjmuje się, że na każde 150 mH temperatura spada o 1 stopień. Oczywiście pomijamy tu wpływ wiatru lub

inne zjawiska (typu inwersja). A to oznacza, że „chłodny” dzień w Granadzie, gdzie temp. mogła tego dnia spaść do 20 stopni, w górach oznaczał on temperaturę w okolicy 4°.

2) BAWĘŁNA ZABIJA. Czy coś muszę dodawać? Hasło to widnieje w poradniku zimowej wędrówki przy rysunku skulonego z zimna kościotrupka. Bawełna nie odprowadza wilgoci od ciała, długo schnie. Dobra bielizna termoaktywna oraz wierachnia warstwa z membrany to kluczowe pozycje w wyposażeniu.

3) I najważniejsze, z czym trzeba się liczyć, bo w kombinacji z jednym lub dwoma poprzednimi zabójcze – to czynnik chłodzący wiatru. Przy temperaturze 4° i prędkości wiatru 80km/h odczuwalna temperatura to -4°. Co, jeśli dojdzie do tego mokre ubranie? Woda wychładza nasze ciało 23 razy szybciej od powietrza, zatem nawet latem niewinna sytuacja może przerodzić się w krytyczną.

Pozdrawiam

Dziku



Powyższe zdjęcie zrobiłem na płaskowyżu niedaleko najwyższej góry na Uralu. Na zdjęciu Maciek – miłośnik ekstremalnych wrażeń. Wtedy byliśmy doskonale przygotowani do trudności związanych z temperaturą.

Górska kuchnia wg Agi

Odkopane w archiwach sprzed lat. Artykuł autorstwa Agi o żywieniu w górach. Spokojnie mogłaby wypuścić tego całą serię:

Jeśli uważasz, że dobre jedzonko znacznie zwiększa Twoje szanse na zdobycie wymarzonego szczytu – dobrze myślisz! Powszechnie wiadomo, że smaczne posiłki pozostają raczej pobożnym życzeniem, gdy biwakuje się gdzieś na lodowcu... Spróbujmy to zmienić!

W tym miejscu będziemy zamieszczać sprawdzone przepisy na dania, które można zrobić w najbardziej ekstremalnych warunkach, ze składników, które są lekkie oraz nie zajmują dużo miejsca w plecaku.

Aby „niebo w gębie” nie oznaczało w górach tylko łykania rozrzedzonego powietrza...

Na dobry początek pierwsze propozycje:

1. Spaghetti Pawła

Do wrzątku wrzucamy makaron dwu-pięciojajeczny (takie małe nitki, w małych paczkach, gotuje się ok 2-3 minut), po zagotowaniu (bez odcedzania!) dodajemy sos do spaghetti w proszku, pokrojony w małe cząstki ser i voille! można jeszcze dodać ciupkę bazyli suszonej. Pychota!

2. Zupka Agi

Zalewamy „rosół z kury” (polecam amino – duży makaron) wrzątkiem, wkrawamy małe kawałki sera żółtego i kabanosów, a

jeśli chcemy zwiększyć kaloryczność (zwłaszcza w zimie) dodajemy kapkę oleju lnianego. Mniam, mniam...

3. Danie Dzika

Nie ma i raczej nie powstanie, bo on wogóle nie je, chyba, że mu się przypomni lub przymusi..

4. Liofy – fuuu...

5. Przekąski Agi, te ulubione

- kisielki + herbatniki
- budynie zalewane wrzątkiem (HIT: czekoladowy z orzechami)
- kaszki zalewane np. mleczny start – niecały 1zł (patrz *)
- ser żółty + kabanosy
- mieszanka bakalii

Aga

Przypiski Dzika:

Ad. 1 – to danie z czasem przybrało wersję dwudaniową. Najpierw gotujemy parówki, potem do tej samej wody wrzucamy makaron i dalej wg opisu. W trakcie przygotowywania zakąszamy parówkami.

Ad. 3 – Jedzenie to strata czasu. Amerykanie ponoć już całkowicie od tego odchodzą.

Ad. 4 – Tu również informacja wymaga uaktualnienia, bo odkąd pojawiły się wyroby polskiej firmy LyoFood, jedzenie liofilizowane nabrało zupełnie nowego wymiaru i ponownej akceptacji.

Ad. 5 – Informacja dot. Mlecznych Startów nieaktualna, bo po którymś wyjeździe produkt Adze zbrzydł i tak już zostało. Ja też ich jeść już nie mogę (choć nadal lubię), bo sam zapach w namiocie może spowodować komplikacje.

Do szkolnej gazetki

Poniższy artykuł napisałem niegdyś do wrocławskiej, szkolnej gazetki. Chcę się nim dziś podzielić z szerszym gronem. Miłego czytania.

Dziku

Po kliknięciu w obrazek ukaże się większy format:

18

Ludzie i ich pasje Jarosław Kruk

Kto nie lubi przegrywać? Kto z odpowiem nie chciałby być przegranym? Kto nie lubi przegrywać? Kto z odpowiem nie chciałby być przegranym? Kto nie lubi przegrywać? Kto z odpowiem nie chciałby być przegranym?

Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać.

Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać.

Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać.

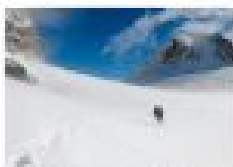
Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać.

Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać.

Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać.

Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać.

Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać. Wiem, że nie lubię przegrywać.



Monte Bianco – rocznik 2015

Cel – Monte Bianco – zdobyty

Kiedy – lipiec 2015

Kto – Dziku & Aga & Marcin & Grzechu

Zdjęcia – Dziku

Ktoś mi jest winny opis tego wyjazdu. Ten ktoś wie o tym i jestem przekonany, że niedługo obiecaną relację otrzymam. A póki co zajawka w postaci 2-minutowego pokazu z muzyką.

Powyżej napisane jest kto i co zdobywał. Warto jednak dodać, że była to w mojej opinii powtórka z roku 2009, tylko próba nieco bardziej szalona. Bez zdradzania szczegółów – tło tej akcji było takie, że zgadaliśmy się kiedyś „na Blanca”. I miało być w miarę łatwo, bez wspinaczki, szczelin, ekspozycji. Tylko, że drogę przez Goutera w tym okresie „zamknęli” ze względu na fatalne warunki. Mimo, że był to dopiero początek sezonu, na drodze tej zginęło już parę osób. Mieliśmy do wyboru zrezygnować z wyjazdu lub spróbować inną drogą. Padło na drogę od strony miasteczka Courmayeur. Poniżej wybrane slajdy a ja jeszcze dodam, że im więcej czasu mija od tej przygody, tym bardziej się przekonuję, że to było szaleństwo.

Dziku

<http://dzikumaniak.pl/wp-content/uploads/2016/12/montebianco.mp4>

Morskie Oko Ekspres

Cel – Rysy (2499 m n.p.m.) – niezdobyty

Kiedy – luty 2015

Tekst i zdjęcia – Dziku





14-go lutego 2015 pojechaliśmy w Tatry zrobić sobie sesję zdjęciową. Biała suknia, garnitur z bierzmowania, kwiaty, ośnieżone szczyty... Na dodatek przypadek sprawił, że to akurat Walentynki. No to już w ogóle kosmos i Romantica na całego. Ale do rzeczy: w sobotę rano, przed sesją postanawiam przeprowadzić szybki szturm na Rysy. Na zdjęciach na późniejszej sesji i tak nie powinno być widać żem spocony. Tym bardziej, że pod koszulą opinał mnie merynos. Nie wiem o której wyszedłem ze schroniska w Morskim Oku, ale wiem, że za późno. A zapowiadał się piękny czas, na bank byłby to jakiś rekord. Jeśli nie najszybsze zimowe wejście, to może chociaż najszybsze walentynkowe. Wystartowałem w polarze, z czekanem w ręce, batonikiem w kieszeni i aparatem na ramieniu. Kurtkę przewiesiłem na biodrach. Wyglądałem jak w sukience, zresztą śmiesznie mnie na trasie skomentowano. Ogólnie to w amoku przebiegłem jeziorko, wskoczyłem na Czarny Staw i jego również przetruchtalem. Potem ostro w górę, tempem zabójczym, roztrącając i przepraszając po kolei ekipy, które mijałem. Tuż przed skalną kopułą, wieńczącą szczyt, postanowiłem zawrócić. Ta końcówka wymagałaby uwagi, bo poślizgnięcie się oznaczałoby nicy z sesji zdjęciowej, za to byłaby wzmianka w kronikach Topru. Szybko skalkulowałem, że od wierzchołka dzieli mnie około 15 minut w jedną stronę, a to oznaczało również 15 minut w drugą. W takim terenie nie przyśpieszę bez ryzyka. A po co ryzykować? Jest 8:26, a ja o 9-tej muszę być w schronisku, więc nie ma wyjścia – z górki na pazurki. Zatem robię zdjęcie typu „selfie” i ogień na dół. Warunki idealne – można sadzić susy. A po jeziorkach znów przebiegłem.

Tak się podpaliłem tą czasówką, że potem przeżywałem jak stonka wykopki. A dziś okazuje się, że nie pamiętam o której wyszedłem. Ale co z tego, skoro i tak szczytu nie zdobyłem. Może jeszcze kiedyś przyjadę w Tatry? Nie wiem, co by się musiało stać, ale kto tam wie.

-END-

Polska – Rysy (ale od Słowackiej strony)

Cel – Rysy (2499 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2014

Tekst i zdjęcia– Dziku

Kto– Dziku & Magda & Kowalski







Wyjście z Marcinem i Magdą miało być „zwiadem” przed innym, znacznie bardziej ambitnym przedsięwzięciem. Dokładnie 3 tygodnie później planowaliśmy wejść na Rysy z grupą osób z projektu „Razem na Szczyty”. Najwyższy szczyt Polski miał być ukoronowaniem projektu zdobywania Korony Gór Polski z osobami z niepełnosprawnościami. Fotorelację z tego niespotykanego szturmu na Rysy również zamieszczę. Tu jednak skupię się jedynie na tym wejściu, który dla mnie oprócz wywiadu miał inne znaczenie – był to pierwszy raz, kiedy zdobywałem Rysy od Słowackiej strony. Jak się mogłem przekonać, południowa wystawa wcale nie zapewnia suchego szlaku w czerwcu. Śniegu było całe mnóstwo. Dlatego też (patrz mapka) w pewnym momencie ścięliśmy szlak i poszliśmy po śnieżnym stoku w kierunku skał, gdzie pod koniec wisiała nawet poręczówka. Powyżej kamienne schody i schronisko „Chata pod Rysami”. Dalej również sporo śniegu, właściwie jedynie ostatnie metry, gdzie trzeba przekroczyć kilka bloków skalnych były zupełnie odsłonięte. Dało nam to wiele do myślenia, ale założyliśmy, że za 3 tygodnie tyle śniegu nie będzie (błędne założenie!). Na szczyt wszedłem w dzinsach, co na pewno było odpowiednio skomentowane na szlaku. Buty na nogach miałem trekkingowe, ale w woreczku trzymałem japonki, na wszelki wypadek.

Bez tego sprzętu nie możesz wyjść w góry!

Bez tego sprzętu nie możesz wyjść w góry!

Postanowiłem podzielić się ze światem kilkoma radami dotyczącymi sprzętu. Jest to 5 artefaktów, bez których nie osiągnęlibyśmy tego, co dotychczas osiągnąć się udało.

1. Grabie turystyczne model Basic z katalogu Jesień 2015 firmy „Alpejski Ogród”.



Na zdjęciu bardzo popularny model grabii turystycznych, wg

mnie wciąż niedoceniany w górach wysokich. Wielokrotnie posługiwaliśmy się nimi w miesiącach jesiennych, kiedy drzwi schronu lub namiot zostały szczelnie przykryte liśćmi.

2. Młot drewniany model BlackOut firmy „Bleeding Flies”.



Przydatny w niższych partiach gór. Szczególnie tych, na których wypasa się bydło, obfitych w muchy, meszki i komary. Zaletą jest to, że jest prosty w obsłudze. Niestety ten model nie ma składanej rączki, dodatkowo po namoknięciu sporo waży, dlatego polecam dokupić nieprzemakalny pokrowiec.

3. Kości do gry. Ewentualnie karty.



Doskonałe przy przekraczaniu poszczelinionych lodowców. Przed niepewnym mostkiem śnieżnym każdy z uczestników wyprawy rzuca

kości lub ciągnie kartę z talii. Ten, kto wyrzuci najmniejszą liczbę oczek lub wyciągnie najniższą kartę idzie jako pierwszy. W wersji dla profesjonalistów nie wiążemy się liną. W przypadku załamania się mostu śnieżnego i upadku do szczeliny osoba w tym momencie prowadząca odpada z gry. zasady te mogą mieć też zastosowanie na ostrej grani z nawisami. Reguły mogą być modyfikowane. Na obrazku widzimy, że grupa zdecydowała się rozegrać cały pojedynek. Przypuszczalnie osoba, która przegra będzie musiała nieść do góry oba namioty.

4. Łańcuchy „Rap 4 Me” firmy „White Nigger”.



Kto dziś wybiera się na wspinaczkę bez przynajmniej 20 metrów porządnego łańcucha? Jest to jedyna pozycja w tym zestawie,

kiedy pragmatyzm ustępuje po prostu gustowi. Łańcuchy pełnią rolę głównie ozdoby, ale w chwilach krytycznych zapewnią bezpieczeństwo. Już kilka metrów łańcucha zapewni twojemu partnerowi asekurację podczas trudnych momentów we wspinaczce.

5. Kosa Wysokogórska model „Red Blade” firmy „Cassim”.



Na koniec zostawiłem sprzęt absolutnie o najszerszym spektrum zastosowania. Pozwolę sobie tu wymienić jedynie parę z nich. Zaczynając od góry (dosłownie) kosa ta doskonale zastępuje

czekan w śniegu i lodzie, szczególnie ułatwia nam tu życie odpowiednio zagięte stylisko (na zdjęciu model z 1966 roku ze styliskiem prostym). W ścianie jedynie taką kosą jesteśmy w stanie sięgnąć odpowiednio daleko, by odciąć linę konkurencyjnemu zespołowi. Oczywiście w niższych partiach możemy wykosić trawę pod namiot lub obronić się przed dzikimi zwierzętami (choć w tym przypadku ja preferuję młot).

Mam nadzieję, że każdy z Was potraktuje te porady poważnie gdyż wszyscy możemy zaobserwować, co się dziś wyprawia na szlakach. Są to zaniedbania, od których włos na głowie się jeży i obok których nie można przejść obojętnie. Dlatego zdecydowałem się na ten krótki artykuł. Może odmieni losy chociaż kilku osób i oszczędzi pracy ratowniczym służbom.